Rok IV. Kraków 1 Maja 1896. Nr 7.




PISMO LUDOWE.

**Przedpłata** na *Nowy Dzwonek* razem z *Nowinami* i *Rozmaitościami* wynosi w **Galicyi**:
rocznie: **2** złr. **50** ct.
półrocznie: **1** złr. **25** ct.
*Kwartalnej* przedpłaty *nie przyjmuje się*.

**W Niemczech** rocznie: **5** mk.
**W Ameryce** rocznie: 1½ dolara.
**Adres** do przesyłania przedpłaty: *Redakcya Nowego Dzwonka*, **w Krakowie**, ul. Basztowa l. 4.

Wychodzi dwa razy w miesiącu — dnia **1**-go i **15**-go.

Do **każdego** numeru dołącza się **bezpłatnie** drugą gazetkę pod tytułem: *Nowiny* i *Rozmaitości.*

# Od Wydawnictwa.

## Takich więcej!

Po świętach wielkanocnych, a więc w niedawnych dniach, rozesłaliśmy już blisko **50** książek do nabożeństwa: **„Droga do nieba“** jako nagrody tym, którzy pozyskali nam podczas świąt po **3-ech** nowych prenumeratorów.

Widać, że kto chce, to może pismo rozszerzyć; odrobinę tylko dobrej woli potrzeba, a można się i pismu przysłużyć i zyskać jeszcze w nagrodę za to piękną książkę do nabożeństwa.

Ktoby chciał iść śladem takich poczciwych i życzliwych Czytelników, i otrzymać wspomnianą wyżej książkę, niech się stara o **trzech nowych prenumeratorów** i powie im, że każdy z nich może otrzymać jeszcze, gdyby się teraz zgłosił, **wszystkie zeszyty** *Nowego Dzwonka* **od początku roku**, ale musi się zgłosić z prenumeratą jak najwcześniej, gdyż zapas tych numerów początkowych jest niewielki i później może ich zabraknąć.

## Zwracamy uwagę

wszystkich Szan. Czytelników na nasze ogłoszenie podane na 3-ciej stronie okładki, odnoszące się do wydawnictwa **„Żywota Pana Je-**

**zusa i Najśw. Maryi Panny“.** Radzimy nabyć to dzieło przez nadsyłanie prenumeraty **teraz**, bo tą drogą nabędzie się tę książkę o **połowę taniej**, niż później.

## Prosimy także

zalegających z resztą prenumeraty, czyli opóźniających się z nadesłaniem dopłaty (1 złr.) o jak **najrychlejsze** jej uiszczenie, bo przez takie ociąganie się ze strony Szan. Czytelników, wydawnictwo nasze narażone jest na wielkie trudności i opóźnianie się.

Zwracamy także i na to uwagę, że *Nowy Dzwonek* wychodzi obecnie dwa razy w miesiącu **dla wszystkich**, a więc nie możemy go posyłać jednym raz w miesiącu, a drugim dwa razy, bo to jest dla nas niemożliwem, a dla Czytelników nie miałoby pismo żadnego pożytku, gdyby odbierali tylko co drugi numer, boby im połowę numerów przez to brakowało. Skoro prawie wszyscy zgodzili się i prosili nas o wydawanie pisma dwa razy w miesiącu, to dla tych kilkunastu niezgadzających się na to, nie możemy robić jakichś wyjątków i inaczej pismo wydawać. Mniejszość musi się zawsze stosować do większości. Przez tego jednego reńskiego dopłaty, nikt z Was nie zubożeje, a za to ma się gazetkę częściej.

Gdyby wieśniacy mniej dawali zarabiać żydom, toby każdego z Was stać by było nie na jedną, ale na dwie i trzy gazetki, a przy oświacie wnetby zupełnie inaczej wyglądały nasze wioski. Trzeba tylko chcieć to zrozumieć i nie bać się światła, które Wam niosą gazetki i książki i nie żałować na nie grosza.

---

# Królowa Korony Polskiej.

Już od dziecka każdy z nas śpiewał i śpiewa w Litanii do Najśw. Maryi Panny te słowa: »Królowo Korony Polskiej módl się za nami«, a niejeden nie wie, dla czego to Matkę Boską tak nazywamy. Otóż posłuchajcie:

Żaden kraj w świecie tyle nie był narażony na cierpienia i klęski i ciężkie a krwawe walki, co nasza kochana Polska. Nie myślała ona nigdy o tem, aby zabierać cudze kraje, nie dawała nikomu powodu do wojny i nie krzywdziła nikogo, a jednak ciężko walczyć musiała, aby obronić się przed chciwością sąsiadów. I Krzyżacy i Niemcy i Moskale i Turcy i Tatarzy, wszyscy ją skubali ze wszystkich stron, że aż czasem trudno się było opędzić, a jak Turcy napadli na Niemców, wtenczas ci stali się potulnymi i tak prosili i tak błagali, że nasi musieli ich jeszcze obronić pod Wiedniem.

Nie dosyć na tem, że sąsiedzi Polskę szarpali — z za morza nawet przybywali nieprzyjaciele i ciężkie jej zadawali klęski, a byli to Szwedzi.

Już temu przeszło dwieście lat, jak panował w Polsce *Jan*

*Kazimierz*, król nieco słaby. Ten niepotrzebnie powadził się z jednym szlachcicem, Hieronimem Radziejowskim, który z żoną swą żył w niezgodzie i w tej kłótni małżeńskiej przez króla osądzonym został. Postanowił tedy Radziejowski zemścić się na królu i nie pomnąc na to, że zemsta jest grzechem, a zdrada Ojczyzny jest zbrodnią niesłychaną, poszedł do Szwedów i namówił ich, aby skorzystali z słabości króla i Polskę zagarnęli. Szwedom w to graj! Zaraz też zebrali liczne wojska, przeprawili się okrętami przez morze i wtargnęli do Wielkopolski, tj. do tej części kraju, której głównem miastem jest Poznań.

Polacy a zwłaszcza Wielkopolanie, bardzo się źle spisali. Zamiast chwycić za broń, a gdyby jej niebyło, za kosę lub cepy, stanąć przeciwko nieprzyjacielowi jak jeden mąż i splunąwszy w garść, walić co się zmieści i do upadłego bronić swej Ojczyzny, mieli wszyscy stracha i co żywo Szwedowi się poddali, a tak dalece się poniżyli, że króla szwedzkiego nawet opiekunem swoim nazywali. Zabrał też Szwed wszystko, co się dało, potem z Poznania wyruszył do Krakowa i Warszawy, a uciśniony naród odarł prawie ze skóry. Wszyscy upadli na duchu, nikt się nie bronił, sam król nawet uciekł do Szlązka, jedno tylko miejsce nie chciało się poddać Szwedowi, a tem był klasztór na Jasnej Górze w Częstochowie, słynący cudownym obrazem Najśw. Maryi Panny.

Gniewało to dumnego Szweda, że kiedy miasta, fortece zdobył, klasztor mu się poddać nie chce, a wiedząc, że w klasztorze tym są wielkie kosztowności, z gniewu i chciwości postanowił bądź co bądź klasztor zabrać i wysłał jenerała swego Millera, z dwudziestoma tysięcy wojska pod mury Częstochowy, gdzie zakonników i rycerzy było ze wszystkiem ze trzysta.

Okropna różnica — dwadzieścia tysięcy na trzystu! A jednak nasi nie upadli na duchu, bo mocną mieli wiarę i nadzieję w Bogu i w Opiece Najśw. Bogarodzicy. Może niejeden sądzi że ten, który tą garstką Polaków dowodził i zachęcał do wytrwania, musiał być dzielnym żołnierzem — tak jest był to żołnierz, ale żołnierz Boży, bo zakonnik, Przeor ks. Augustyn *Kordecki*. On był podporą wszystkich i kiedy nieraz rycerze stracili ducha, on ich rozgrzewał do walki i w białej swej szacie, jak anioł opiekuńczy stał wśród gradu kul na murach i trzymając krzyż wzniesiony do góry, dodawał otuchy.

Zrazu zdawało się Szwedom, że ten cichy klasztor z swą lichą załogą sprzątną tak sobie na śniadanie, ale okrutnie się omylili, bo ilekroć przypuścili szturm, takie od dzielnych obrońców Częstochowy dostawali poczęstne, że jak zmyci powracali do swego obozu. Jenerał Miller wściekał się ze złości. Siedząc w swym namiocie odgrażał się, że skoro klasztor zdobędzie, zburzy ołtarze

i całą świątynię w gruzy zamieni — ledwie dokończył tej groźby, aż tu nadlatuje kulka z klasztoru i tak trzepnęła Millera w ramię, że był w niebezpieczeństwie życia i z biedą się wylizał.

Już czterdzieści dni trwało oblężenie, które się Szwedom bardzo dało we znaki, ostatni więc natarczywy szturm przypuścili na klasztor w samo Boże Narodzenie, ale taką odebrali frycówkę, że ostać się nie mogli i od Częstochowy z wstydem odstąpić musieli.

Wtenczas wystąpił ks. Kordecki z chorągwią, na której był obraz Matki Boskiej Częstochowskiej i padłszy na kolana, na czele zakonników i rycerzy dziękował Bogu za zwycięztwo i Najśw. Pannie za opiekę. Po modlitwie powstał i zawołał głosem uroczystym, a głos jego brzmiał jakoby głos proroka: »O polski narodzie! gdybyś ty szczerze umiłował jedność, zgodę i sprawiedliwość, gdybyś ty poznał opiekę Boga, nad tobą, o polski narodzie, jakże byłbyś potężnym!«

Słowa te były wyrzutem dla całej Polski, bo czyż cały naród tego dokazać nie mógł, czego dokazała garstka trzystu wojowników? Słowa te i dla nas są i będą zawsze nauką, za którą idąc nie będziemy potrzebowali płakać nad naszą nędzą i niedolą.

Zwycięztwo klasztoru dodało otuchy całemu narodowi. Powstali Polacy w całym kraju, a pod wodzą sławnego hetmana, Stefana Czarnieckiego poczęli wymiatać Szwedów z kraju, aż się za nimi kurzyło. Wkrótce tak się uwinęli, że ani jeden Szwed, choćby na lekarstwo, nie pozostał, a król Jan Kazimierz powróciwszy ze Szlązka do Lwowa, dziś miasta stołecznego Galicyi, udał się nasamprzód do świątyni katedralnej, gdzie uroczystym ślubem oddał cały swój kraj pod opiekę Najśw. Maryi Panny, obierając Ją jako Królową Królestwa Polskiego, nadto ślubował, że zniesie nadużycia, jakie dotychczas były w kraju, że ulgę sprawi uciśnionym i jedność, miłość i zgodę szerzyć będzie w narodzie.

Odtąd Polacy śpiewają w Litanii: »Królowo Korony Polskiej, módl się za nami!«

---

# MAJ.

Wszystko świeże w polu, w gaju
Wszystko świeże już,
Witaj, witaj miły maju,
Wskrzesicielu róż!

Ileż wdzięków i swobody
Zdobył sobie świat:
Żywioł wszelki świeży, młody,
Jak wśród rajskich lat!

Kwitną w polach kwiatki krasne,
Niecąc błogą woń,
A promienie słońca jasne
Blaskiem zdobią błoń.

W dolinach się srebrzą zdroje
Kryształowych wód;
Na pasiekach pszczółek roje
Ciągną z kwiatów miód.

Z pod błękitów sinej chmury
Słychać dźwięczną pieśń;
To skowronków tak brzmią chóry
Na Maryi cześć...

Wszelkich ptaszków pod niebiosy
Płynie wdzięczny wtór,
A z ich śpiewem ludzkie głosy
Tworzą jeden chór.

W pole idą małe dziatki
Barwne kwiatki rwać,
I za obraz Boskiej Matki
Będą wokół tkać.

*Ferdynand Kuraś* z Wielowsi.

# O wsi Piotrowinie i o kościele tamże.

Na całej kuli ziemskiej niema z pewnością podobnej miejscowości, którąby odznaczała się historyczno-religijną pamiątką, a tak była zapomnianą, jak kościół w Piotrowinie.

Bywając w Warszawie zdarzało mi się spotykać księży nawet, nie wiedzących gdzie się odbył fakt wskrzeszenia Piotrowina.

Wieś tego nazwiska leży w południowej stronie gubernii Lubelskiej na prawym brzegu Wisły, pomiędzy osadami Opole i Józefów, naprost osady Solec, położonej na lewej stronie Wisły w gubernii Radomskiej.

Kościół Piotrowiński pierwotny sięgał pierwszych początków chrześcijaństwa, gdyż przed rokiem 1074 już istniał; w tym czasie panował w Polsce król Bolesław Śmiały, który chcąc rozszerzyć

granice swego państwa, przedsięwziął wyprawę na Kijów i podbiwszy go, kilka lat tam bezczynnie zostając oddawał się rozpustnym występkom, a za jego przykładem poszło i wojsko, i w końcu sprzykrzyło sobie bezczynne życie i opuściwszy króla do kraju bez jego wiedzy wracać poczęło; później i król dowiedziawszy się że i w kraju nie lepiej się dzieje, powróciwszy, dopuszczał się wielu okrucieństw.

Ówczesny Biskup krakowski Stanisław Szczepanowski nie mogąc obojętnem na takie nadużycia patrzeć okiem, prosił króla żeby zaprzestał niecnych swych postępków, przedstawiając mu zgorszenie narodu i odpowiedzialność przed Bogiem. Gdy prośby na umyśle Bolesława żadnego skutku nie wywarły, jako gorliwy pasterz kilkakrotnie go prywatnie napominał, a gdy i to pożądanego skutku nie osiągnęło, napomniał go publicznie w katedralnym kościele na Skałce, że jeżeli nie powróci na drogę uczciwą, wyłączy go ze społeczeństwa wiernych.

Lecz Bolesław zamiast poprawy myślał raczej o zemście. Nabycie w tym czasie przez Biskupa wsi *Piotrowin* dla kościoła katedralnego w Krakowie dało mu powód do prześladowania pasterza z tej przyczyny: wkrótce po sprzedaży wsi Piotrowina, zaszła śmierć Piotra Janiszewskiego, zwanego pospolicie Piotrowinem, a że nie było jeszcze przez dyptychy ogłoszone w kraju o sprzedaży wsi Piotrowina Biskupowi, król więc skorzystał ze sposobności, wzywa tedy Biskupa, żeby się stawił do sądu i legalne wsi posiadanie udowodnił.

Przybył właśnie w tym czasie Bolesław na łowy w bliskości Piotrowina, gdzie i Biskup stanął i odwołał się do naocznych świadków będących przy wypłacie należności, do dwóch synowców Piotra, lecz ci z bojaźni przed królem świadectwa odmówili. Nie mając więc Biskup żadnego prawnego dowodu własności posiadania wsi, uroczyście zapowiedział, że skoro nie ma świadków na ziemi, będzie ich szukał pod ziemią, i wtedy po trzech dniach modlitwy i postu staje nad grobem Piotra Janiszewskiego, pochowanego pod podłogą w kościele św. Tomasza Apostoła, i ufny w Boską pomoc i objawienie, w imię Boże powstać mu rozkazuje.

Natychmiast rozstępuje się podłoga, opada wieko trumny i trzyletni trup z niezmiernem zdziwieniem i przestrachem wszystkich obecnych powstaje, a obleczonego w albę kościelną, Biskup wziąwszy pod rękę, prowadzi przed króla przestraszonego i milczącego.

Nikt słowa przemówić się nie ważył, wówczas sam Piotr w te słowa przemówił; »jestem Piotr, który mam dać świadectwo prawdzie, przychodzę tu z krainy pokoju; temu Biskupowi ja wieś moją

Piotrowin za słuszną cenę sprzedałem i oddałem.« Króla i krewnych surowo upomniał, że męża świętego śmieli bez potrzeby niepokoić. Król przekonany tak niezbitem świadectwem, kupno potwierdził.

Odprowadzając Biskup swego świadka ze sądu do grobu, zapytał go czy dla pokuty niepragnąłby przedłużenia życia, odpowiedział że już większą część pokuty w czyścu odbył i nie chce powtórnie na niebezpieczeństwo pokus świata i grzechu narażać się, spodziewa się że przez modlitwy Biskupa od reszty kary uwolnionym będzie, i odprowadzony do miejsca spoczynku, powtórnie umarł.

Obecni dowiedzieć się pragnęli o rzeczach przyszłego świata, lecz on odpowiadał: macie pisma Mojżesza i proroków, nie dla nauki lecz dla dania świadectwa prawdzie przysłany zostałem. Usłyszały o tym fakcie sąsiednie narody i cieszyły się, że Bóg wsławił miłosierdzie swoje i dziękowały Mu, że tak wielką władzę udzielił ludziom.

Ten cud wzmocnił wiarę Polaków świeżo nawróconych, rozszerzył w całym świecie sławę narodu, i serca sąsiednich narodów do P. Boga nawrócił. Cud ten powstrzymał także na niejaki czas nadużycia Bolesława, lecz niedługo ochłonąwszy z wrażenia jakie na nim fakt ten wywarł, rozpoczął znowu swoje okrucieństwa. Nie mogąc tego dłużej znieść dobry pasterz, napomina go jeszcze raz i drugi, w końcu widząc, że wszystkie prośby, perswazye i upomnienia w żart obraca, w niedzielę z przed ołtarza w katedrze na Skałce rzuca klątwę na niego.

Uderzyła mocno ta rzecz umysł króla i odtąd tylko o pozbawieniu życia Stanisława myślał. Dalsza historya znana każdemu, a teraz wracam do kościoła.

Kościół w Piotrowinie wzniesiony został w stylu gotyckim w r. 1441 przez Zbigniewa Oleśnickiego, Biskupa krakowskiego i kardynała, który będąc jeszcze w wojsku, uczynił ślub, że gdy zostanie kapłanem, a w następstwie Biskupem krakowskim, wówczas to miejsce murem ozdobi. Fundacyę tę poświadcza wpuszczona w ścianę kościelną tablica kamienna wyobrażająca w płaskorzeźbie Zbigniewa ofiarującego kościół św. Stanisławowi z napisem: »Zbigneus Eppus Cracov. me fecit anno D. 1441,«; dalej Matkę Boską i św. Tomasza Apostoła Patrona kościoła. W kościele są trzy ołtarze, w wielkim obraz przedstawiający św. Stanisława z wskrzeszonym tu Piotrowinem, a od strony Epistoły obraz św. Tomasza Ap., zaś od strony Ewangelii obraz Matki Boskiej.

Znalazłszy Zbigniew pierwszy kościół modrzewiowy w dobrym jeszcze stanie, kazał go przewieść do miasteczka przez siebie założonego Biskupic o 3 mile za Lublinem położonego, i tam pożar go zniszczył. Kajetan Sołtyk, Biskup krakowski miał zamiar

powiększyć kościół, urządzić tu kolegiatę i do tej wielkich rozmiarów budowli sprowadził kilkadziesiąt sztuk kamieni ciosowych kapiteli i brusów i założył już fundamenta, gdy w trakcie tego wywieziony został w głąb Rosyi, a po kilku latach powróciwszy, nie miał już czasu postanowienia swego urzeczywistnić.

O 10 łokci od kościoła jednocześnie z nim postawiono kosztem tegoż fundatora, nad grobem Piotrowina, kapliczkę, w niej ołtarz z indultem odprawiania codziennie Mszy św. Na mensie znajduje się starożytny dobrego pędzla obraz szafkowy (tryptyk); po lewej stronie przedstawia on kupno wsi, jak Biskup płaci złotem, a Piotrowin je zbiera w obecności świadków, po prawej wskrzeszenie jego, w środku zaś stawienie przed Bolesławem w postaci siedzącej, a obok dwaj synowcowie jako świadkowie, z których jeden nos sobie zasłania, za co zgromił go Piotrowin słowy: »gdy się mną brzydzisz, do 25-go pokolenia twego wszystkim czuć będzie z ust i nosa«. W roku 1850 był tam potomek jego, oficer wojsk rosyjskich i autentyczność tego poświadczył; przybył w to miejsce dla złożenia ofiary i dziękczynienia św. Stanisławowi za uwolnienie jego pierwszego od tego trądu.

Znajduje się tutaj pierwotny kamień z napisem: «Hic jacet Petrus bis mortuus, miraculum christianis annis« (»Tu leży Piotr dwukrotnie zmarły, cud w latach chrześcijańskich«). Ten kamień leżał 140 lat na stopniu ołtarza, przez co napis w wielu miejscach starty został, dla zachowania pamiątki wmurowano go w ścianę.

*Dokończenie nastąpi.*

---

# Pawłowa dola.

Na szerokim łanie dojrzałego żyta stanęła gromadka ludzi. Hoża, tęga dziewucha, przeżegnawszy się nabożnie, żwawo chwyciła dłonią słomę białawą i oto w promieniach wschodzącego słońca mignął jak błyskawica błyszczący sierp, zachrzęściła suchym zgrzytem ścinana słoma i pierwsza garść nowego żyta legła na świętej ziemi żywicielce. W świeżem porannem powietrzu rozległ się głos wesoły.

»Oj naźniemy kopeczek
Jak na niebie gwiazdeczek!
Pan się będzie radował,
Kopeczki swe rachował.
Raduj się panie raduj,
Beczkę piwa nam ładuj!
Pozbijamy se kolana,
Ładuj nam panie barana!«



Królowa Majowa.

Śpiewała i jedną garść po drugiej mignąwszy kłosami w powietrzu, składała na zagonie. Za nią stawali szeregiem drudzy, aż wyciągnęło się długim sznurem to wojsko pracowników, uzbrojone w sierpy, śpiewające, ochocze, choć potem oblane i trudem zgięte. Jakże się nie cieszyć, gdy żytko zarodziło i Bóg pozwala je ludziom zbierać przy pogodzie.

Płynęły więc śpiewki, chrzęściła słoma, błyskały sierpy, a słonko jasnem spoglądało okiem na ludzką radość i pracę.

Spoglądał też wesoło i właściciel pola, boć pełne, ciężkie kłosy obiecywały plon obfity, plon chleba powszedniego dla rodziny i czeladki, o który człowiek codzień prosi w pacierzu Ojca niebieskiego.

Miedzą od strony pobliskiego miasta zbliżał się młody chłopak. Zapadłe, ciemne oczy spoczęły nieśmiało na stojącym przy żniwiarzach dziedzicu, zalęknienie odbiło się na wychudzonej twarzy ; zwolnił kroku, a zdjąwszy zniszczoną czapczynę, miał ją w ręku, nie śmiejąc bliżej przystąpić.

Stare, łatane spodnie i podarta koszula stanowiły jego ubranie, a za pasem sterczał świeżo widać kupiony, bo jeszcze słomą owinięty sierp.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! — wyszeptał wreszcie z cicha, kłaniając się z nizka.

— Na wieki! a czego to potrzebujesz mój chłopcze?

— Chciałem wielmożnego pana prosić, coby mnie wzięli do roboty, nieśmiało wyszeptał.

— Nie proś, jeno stawaj z drugimi. We żniwa każda para zdrowych rąk się przyda.

— Bo ino — potwierdził chłopak, tylo... że... bez to... co niby... bąkał zmieszany, bo od strony żniwiarzy doleciały go jakieś szepty i śmiechy.

— Cóż takiego? mów wyraźnie, ośmielał dziedzic chłopca.

— Wielmożny panie, miewam słabość — cicho wyszeptał schylając się znów nizko — i bez to nie chcą mnie brać do nijakiej roboty ni we wsi, ni w mieście. A tu człeku żyć trzeba.... westchnął.

Dziedzic spojrzał ze zajęciem na biedaka. Wychudzony on był, ubrany nędznie, pokorny i nieśmiały, a świadomość własnej niedoli cieniem smutku otaczała mu młode czoło.

— Biedak! — pomyślał dziedzic, a zwracając się do chłopca, zawołał wesoło:

— Bierz się do sierpa, a żwawo! Jeżeli będziesz pracowity i spokojny, nie zabraknie u mnie roboty dla ciebie. Że cię Bóg chorobą dotknął to jeszcze nie powód, żeby cię ludzie opuścili. Marsz, żwawo!

Ucieszony chłopak złapał sierp i stanąwszy na końcu długiego szeregu żniwiarzy, zaczął zaraz kłaść garście. Zwijał się i poweselał: znać praca nie była dlań nowiną, a zajęcie koło roli, miłe dla każego włościanina, i jemu widocznie przyjemność sprawiało. Dziedzic z przyjemnością patrzył, jak nowy robotnik nisko zżynał, szeroko zajmował i równo garście układał. Schylony nad zagonem, prawie że nie spoczął, lecz doganiał gromadkę żniwiarzy, która już była daleko.

— Tęgi robotnik! — mówił dziedzic sam do siebie — jak raz dobry nabytek na żniwa.

Lecz nie wyszła jeszcze godzina, gdy nagle kościste, ciężkie ciało, runęło na ziemię, a gwałtowne drgania poczęły rzucać i wykrzywiać członki człowieka.

— O Jezu! Matko Boska cudowna! — pisnęły kobiety — już go chyciło!

— Wielmożny panie, on nijak robić nie może — mówiła, patrząc nań z trwogą i politowaniem stara Maćkowa. Chyci go to choróbsko, nikiej złe, i tłucze, a potem jak niespełna rozumu chodzi.

— O la Boga, la Boga! — wołały dziewki — musi być uczynione ma, czy co.

— Gadają ludzie, że małym będąc bardzo był swawolny, aż go raz ponoć matka polanem zwaliła po głowie i od tego czasu cierpi słabość, opowiadały sobie baby, żnąc i kręcąc na przemian powrząsła.

— Bo to, moi drodzy, i cierpliwości człeku nie stanie, jakie te raki wyprawiają zbytki. Nie dziwota też, że się tam jedno i drugie szturchnie, tłumaczyła tęga baba, o której mówiono, że »chytała się bicia« nie tylko dzieci, ale i swego chłopa.

— Zawsze to grzech i obraza Boska i nieszczęście dla dziecka, mówiła druga. Patrzajta jaki to, jak bez rozumu ostał. Stoi i patrzy, nikiej głupi.

— A bo i głupi. — Sam nie wie co się z nim stało.

— A to kara za to, że dla matki był niedobry — dowodziła Ignacowa.

— Oj dla matki to kara, dla matki, co nie miała wymiarkowania dla dziecka — westchnęła Maćkowa. Mój miły Jezu, a toć i nasz pan pewnie go odprawi, boć to ino mitręga z takim robotnikiem. Pójdzie znów nieborak do miasta, chyba pod kościół.

— A głodne to i odarte — opowiadała inna. — Bez zimę i przespać się nie ma gdzie, bo zewsząd wygonią. Matka sama służy i także przygarnąć nie chce. Ludzie zarobku nie dadzą. Noszę mleko do piekarza, u którego Paweł służył parę czasów

To, kobieto, powiadam wam, jak go raz chyciło, kiedy niósł worek z mąką, to go ledwo uratowali, bo worek upadł na niego.

— Matko Najświętsza! A toćby go zadusiło na śmierć.

To też piekarz zaraz go odprawił, bo się bał, coby u niego co złego mu się nie zdarzyło. Pewnikiem i dziedzic go odprawi, bo i nam nie łacno żąć z taką chorobą w kompanii.

— Oto widzita, że go nie odprawi — tłumaczy Maćkowa, spoglądając w stronę, gdzie stał wybladły chłopiec i właściciel pola. — O, widzita, cosik mu gada, gada, po ramieniu klepie, a Paweł za kolana go ujął i pewno ostanie.

— A, ostaje, ostaje — zawołali inni.

— Już zaczyna żąć, ino już nie tak chybko, jak zrazu. Biedota! — żałowała Ignacowa.

— Ej! co tam takiego szpitalnika brać do roboty — zawarczała Ignacowa; niech pod kościół idzie, albo do szpitala, a nie do porządnej roboty. Jest tu nas dosyć, zbierzemy zboże i bez niego. Po próżnicy tylko pieniądze brać będzie.

— Dajta pokój! Nie wy mu zapłacicie, to se nie psujta głowy o pańską kieszeń. Niech i on biedak zarobi — mówiła litościwa Maćkowa.

— O! wiadoma rzecz, wybyśta i ślepych i kulawych z kulami na polu postawili, a mybyśmy za nich żęli. Niedoczekanie wasze! — gderała swarliwa baba.

Ale wnet ją zagłuszył śpiew przodownicy Jagny:

»Jak nas najęli, to nas gonili:
Żnij dalej, żnij dalej!
Ani śniadania, ani obiadu
Nie dali, nie dali. Hej!«

Szybko szła robota. Po za żniwiarzami pozostawało szerokie rżysko zasłane tylko leżącemi gęsto garściami. Słońce paliło, pot obfity spływał z czoła pracujących, a kłosy kładły się pod sierpem, ucząc ludzi, że plon dojrzały musi obumrzeć, aby pożytek przyniósł i odżył na nowo.

Spoczęli nareszcie, bo z pobliskiego miasta wiatr doniósł odgłos południowych dzwonów.

Wszyscy stanęli i odmówili pobożnie: »Anioł Pański« potem rozpierzchli się do domów. Ten i ów spieszył pokrzepić siły obiadem i snem. Blady chłopiec położył się w cieniu gruszy na miedzy.

— A ty, Paweł, czemu nie idziesz na obiad? — zapytał dziedzic, widząc, że chłopak zabiera się do snu.

— A któżby mi, wielmożny dziedzicu, dał obiad? — spokoj-

nie powiedział biedak. — Prześpię się, a wieczorem kupię kawałek chleba.

— I śniadania nie jadł — szepnęła jedna z kobiet. — Urwał parę stręków grochu i wodą zapił.

— E... on tego zwyczajny; przegryzie chleba i dość mu. Ciepłej strawy już dawno nie miał w gębie.

Dziedzic się zamyślił.

— Paweł! — zawołał — ruszaj do kuchni, a żywo! Dadzą ci łyżkę warzy.

Zaśmiały się oczy głodnego. Skłonił się i podążył za dziewkami do czeladnej izby.

Za łyżkę strawy, za słowo poczciwe, kąt w oborze i małą zapłatę biedak pracował od tego dnia ochoczo przy żniwie, pomagał parobkom i dziewkom, a robota paliła mu się w ręku, chociaż przerywana napadem ciężkiej choroby.

— Dobre panisko! — mruczał, wieczorem siedząc nad pełną misą kartofli. Dobre! nie wygonił jak inni i jeszcze jeść kazał dawać. Bóg mu zapłać! Już ja od niego nie odstanę. Pracować będę jak wół, aby mnie ino nie odprawił.

— Mruczysz, Paweł, niby kot na przypiecku, a obdarłeś się nikiej dziad — zaśmiała się przekorna Jagna, wskazując na podartą koszulę, z pod której gołe ciało świeciło.

— Nic to — spokojnie odrzekł — pan zostawił mnie u roboty, to po żniwach i koszula będzie cała i ubranie se kupię u żyda.

— Widzita go, jaki elegant! — wydziwiały dziewki — może sobie kupisz i kapelusz, jak pan ogrodnik.

— Czemu nie — odpowiedział chłopak śmiało. — Jak człek zarobi to się i odzieje pięknie. Nie będziesz się ze mnie śmiała, Jaguś. Do zimy to i na kożuszynę uzbieram.

— A kole Godów, to i z wódką do dziewuchy poślesz, hę! — zaśmiały się głośno dziewki. — To ci będą swaty! w sam raz dla ślepej Agaty, co pod kościołem siedzi — drwiły nielitościwie.

Chłopak westchnął i nic nie odpowiedział.

Co tam za myśli snuły się w tej biednej głowie, rozbitej niegdyś ręką matki; jakie gorzkie uczucie zalało serce, gdy słowa nielitościwe przypomniały mu, że z powodu choroby jest wyrzutkiem między swoimi, wydziedziczonym z uciech życia, że nawet do pracy nie może stanąć razem z innymi. Może na dnie duszy zakipiał ciężki żal do tej rodzonej, co dawszy mu życie, uczyniła je przez swoją złość i niecierpliwość męką i ciężarem.

— Oj doloż moja dolo! — westchnął z cicha i zadumał się smutnie.

Jakby to on zawsze był pierwszym i do roboty i do ochoty!

Potrafiłby i rolę zorać i zawlec jak się widzi, i konie obrządzić, i bydłu karmę zadać; potrafiłby i snopek równo uwiązać, i przy młocce stanąć. A później, w święto, jakby się on w karczmie wykręcił z dziewuchą, gdyby nie to coś, co go chwyta i rzuca jak bryłę bezduszną o ziemię.

Zerwał się żywo z ławy, bo właśnie parobcy wyprowadzali konie do pławienia.

— A ty, Paweł, co tak wyskakujesz? myślisz już tańcować na weselu ze ślepą Agatą? — drażniła go złośliwa Agata.

Chłopiec spojrzał ponuro.

— Idę konie spławić — odrzekł krótko.

— O! w sam raz ty do pławienia koni — oburknęła kucharka. — Albo to tam nie ma parobków jak się widzi, nie takich niedojdów jak ty. Leź na siano i śpij, kiedy się najadłeś.

— Taki ja, jak i inni — żywo odciął chłopak. — Nie pierwszyzna mi pławić konie — mówił idąc ku stajniom.

Tu okiełzał konie i chciał skoczyć na jednego z nich.

— Niechaj, Paweł, niechaj! — wołał karbowy. — Ostaw konie parobkom, a siana za drabiny nałóż.

— Myślicie, że nie potrafię koni spławić? — z urazą zapytał. — Obaczycie! Lepiej się uwinę niż Tomek i Walek, ino pozwólcie mi jechać.

I skoczył, nie czekając pozwolenia. Cmoknąwszy na konie, szybko puścił się ku Wiśle.

Wietrzyk powiewał, a padająca rosa orzeźwiła powietrze po dziennym skwarze. Na jasne, lipcowe niebo wybiegały jedna po drugiej ciekawe gwiazdki, mrugały złotemi rzęsami i patrzyły w dół, co się też tam dzieje na tej ziemi, która tak jasno błyszczy i tak wesoło pędzi w niezmiernej przestrzeni.

A Wisła płowe swe fale bystro niesie ku morzu. Światło miesiąca pieści ją, srebrzy jej fale, a ona, gniewna pani, rozbija się z szumem o krepujące ją tamy i groźnie szemrze: »Ostrożnie, śmiałki, ostrożnie! Krępujecie królowę rzek waszych i kalacie czystość jej wód; ale ona w miałkim piasku dna swego grób wam wymuli i ofiary z was wybierze«.

Straszny, rozpaczliwy krzyk rozległ się w ciszy nocy letniej, a konie spłoszone z rzeki na brzeg wyskoczyły.

— Tonie! człowiek tonie! — wołały przerażone głosy i gromadka ludzi w śmiertelnej trwodze patrzyła na walkę człowieka ze zdradliwym żywiołem.

Krótka była walka. Para rzutów rozpaczliwych, ręka jakby wyciągnięta jakby z prośbą o pomoc... i zanim zdrętwiali z przerażenia widzowie pospieszyli z ratunkiem, fale wiślane zamknęły się nad biednym Pawłem.

W parę dni później siny, lecz spokojny leżał w białej, własnej domowince. Czysta koszula i całe ubranie okrywały biedne ciało. Matka płakała, dziedzic żałował, ludzie smutnie kiwali głowami, nawet Jagna łzy ocierała. Cała wieś o nim tylko gadała, a na pogrzeb zebrała się wielka gromada ludzi.

Nareszcie był »pierwszym«. Śmierć podniosła ponad żyjących wzgardzonego i odepchniętego, a matka ziemia utuliła go w swojem objęciu do tego snu, który jednoczy wszystkich i wszystkich równa.

---

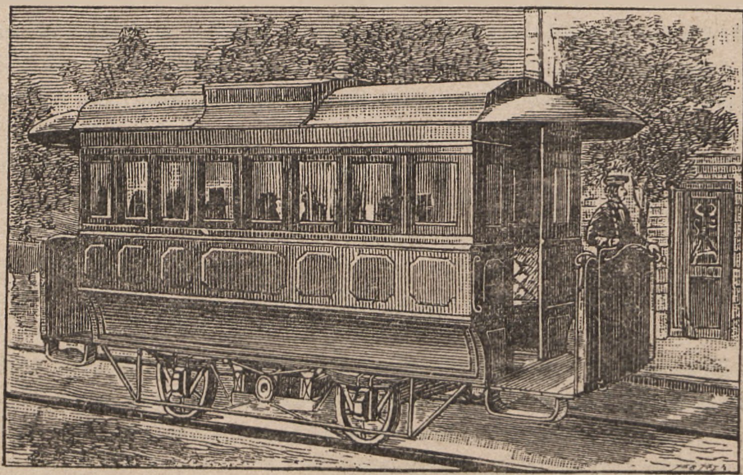
# Rady gospodarskie.

**Bronowanie pszenicy na wiosnę.** Wielu gospodarzy jest tego zdania, iż gdy na jesień pole pod pszenicę dobrze uprawią i obsieją, to później nie wymaga ono już żadnych starań; zapatrywanie takie jest jednak niesłuszne.

Często zdarza się na wiosnę, iż skutkiem śniegu i deszczu rola jest zbita i utworzy się twarda skorupa, która tamuje przystęp powietrza i powoduje wysuszenie ziemi; także tworzą się często na powierzchni szpary, skutkiem czego delikatne korzonki pszenicy cierpią. Temu wszystkiemu można zapobiedz, bronując pola z pszenicą na wiosnę przy pogodnem powietrzu. Należy atoli dokładnie zważać: aby za rychło bronowania nie rozpoczynać i wystrzegać się bronowania podczas niepogody. Jako najlepsza pora do tego jest połowa maja, gdy już niema obawy nocnych przymrozków. Najlepiej nadają się do tego lekkie żelazne brony, albowiem okazało się, że drewniane brony z tępemi zębami więcej oziminom szkodzą, aniżeli lekkie ostre żelazne.

**Pozbycie się szczurów** jest niewątpliwie gorącem pragnieniem gospodarzy, których budynki przez tych niszczycieli nawiedzone zostały. Warto zatem spróbować sposobu, który przez pewnego rolnika w Niemczech odkryty został. Przekonawszy się o bezskuteczności wszelkich łapek, trucizny, cebuli morskiej i tym podobnych środków, kazał rolnik ów złapać kilka żywych szczurów a osmarowawszy smołą, z wyjątkiem głowy, puścił je znowu na wolność. W krótkim czasie wszystkie szczury opuściły zajmowane dotąd budynki i już szósty rok do nich nie wracają. Wlewanie smoły do nor nie wywiera podobnego skutku, gdyż szczury robią nowe chodniki i gniazda dla siebie.

# Różności.



## Tramway elektryczny.

Kto był w większem mieście n. p. we Lwowie lub w Krakowie, ten widział ułożone po ulicach szyny żelazne, co go może i zdziwiło, a gdy chwilę poczekał, to zobaczył wóz, podobny do kolejowego, ciągniony przez jednego konia lub przez dwa konie i toczący się dość szybko po owych szynach, w wozie zaś sporą liczbę ludzi, jadących w takim wozie z jednej ulicy na drugą. Jestto *kolej konna*, albo jak powszechnie nazywają: »tramway«.

We Lwowie od czasów wystawy, i w innych wielkich miastach za granicą oprócz, lub zamiast »konnych kolei«, zaprowadzono już »tramwaye elektryczne«, poruszane elektryką. Koni tu już nie potrzeba, bo siła elektryczna porusza wóz.

Taki właśnie tramway elektryczny przedstawia rycina powyższa. Co to zaś jest elektryka, to o tem będzie w *Nowym Dzwonku* mowa kiedyś później.

---

Do niniejszego numeru dołącza się **Nr 4 „Nowin i Rozmaitości"**.

---

**Treść numeru 7-go:** Od wydawnictwa. — Królowa Korony Polskiej. — Maj (wierszyk). — O wsi Piotrowinie i o kościele tamże. — Pawłowa dola (powiastka). — Rady gospodarskie. — Różności. — **Ryciny:** Królowa Majowa. — Tramway elektryczny.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: *Ks. Marceli Dziurzyński.*

W Krakowie, w drukarni „Czasu" Fr. Kluczyckiego i Sp. pod zarz. J. Łakocińskiego.